

## Wprowadzenie, albo o długich ryjach pisarzy

Szwajcarski pisarz Robert Walser stwierdził kiedyś przekornie, że pisarze mają nadzwyczaj... długie ryje. A to dlatego, że wyczuwają zapach przyszłych wydarzeń jak świnie zapach truflii. Jego austriacki kolega po piórze, Hermann Broch, wyraził całą rzecz nieco bardziej elegancko, mówiąc, że literatura to niecierpliwość poznania, a pisarze próbują uchwycić wieloznaczną rzeczywistość w określony wzór, który pozwalałby uwierzyć, przynajmniej na krótką chwilę, że jednak jesteśmy w stanie coś z tego świata zrozumieć.

Wzór rzeczywistości? Wielu powie, że to niemożliwe. Dla takich niedowiarków mam dewizę kolejnego pisarza, Hermanna Hessego, który całe życie powtarzał, że aby dokonało się możliwe, trzeba ciągle próbować niemożliwego. Tak, przecież tym literatura również jest: ćwiczeniami z niemożliwości. Zwłaszcza teraz, kiedy kulturotwórcza rola literatury gwałtownie traci na znaczeniu. Na naszych oczach zmienia się świat, za sprawą rewolucji cyfrowej przechodzimy, co zauważono już jakiś czas temu, od tzw. kultury doświadczeniowej do kultury informacyjnej. Literatura była niesłychanie istotną częścią tej pierwszej, natomiast w tej drugiej, gdzie ton nadaje logika produkcji i wydajności, a sukces mierzy się liczbą „lajków”, trudno znaleźć dla niej wygodne miejsce. Zarządzanie informacją nie jest i nigdy nie było domeną pisarzy, a przynajmniej tych najwybitniejszych.

Co prawda zjawiska, o których mowa, nie są wyłącznie konsekwencją rewolucji cyfrowej, a jedynie zostały przez nią zintensyfikowane, zaś w niektórych przypadkach doprowadzone do skrajności. Pierwszym etapem zmierzchu dominacji badań literackich w obszarze humanistyki było globalne umasowienie szkolnictwa wyższego po 1945 roku. Doprowadziło ono do głębokich przemian w obrębie instytucji akademickich, to zaś do poważnych rekonstrukcji hierarchii kulturowych. Drugim etapem, związanym z pierwszym, było (w Polsce ten proces dokonuje się dopiero od niedawna, choć w szybkim tempie) tzw. urynkowanie oferty naukowej i edukacyjnej, również w zakresie humanistyki. Co przekłada się na coraz powszechniejsze (niestety często także wśród samych badaczy!) przekonanie, że nauka jest po prostu pewnym towarem na sprzedaż. W tej sytuacji określenie „fabryki edukacyjne” – a nimi właśnie stają się w ostatnich czasach uniwersytety – nie

jest bynajmniej na wyrost. Z takich fabryk nigdy nie wyjdą świadomi obywatele i twórczy pracownicy, czyli ludzie, których obecnie, gdy świat wokół tak gwałtownie się zmienia, najbardziej potrzebujemy. Wyjdą z nich co najwyżej sformotowane „płaszczaki”, istoty podobne do bohaterów powieści Edwina A. Abbotta, *Flatlandia*.

Czy w tej sytuacji źle się dzieje z literaturą i badaniami literackimi? Niekoniecznie. Ba, sądzę wręcz, że postępująca degradacja literatury na listach rankingowych przemysłu akademickiego i kulturowego może nam w wielu wypadkach wyjść na dobre. Pozwoli na nowo określić stosowne miary literackości i upewnić się, co w twórczości literackiej pozostaje dla nas naprawdę ważne. Pozwoli przekonać się, że literatura nie sprowadza się (a takie wrażenie można by wynieść z obserwacji wielu zjawisk współczesnego życia literackiego w Polsce i za granicą) do groteski marketingu, nachalnej promocji „ważnych” autorów i ich „jednodniowych arcydzieł”, co poniekąd festiwalowych targowisk próżności, cudacznych wojenek między krytykami krzykliwie fetyszyzującymi własne wizje estetyki literackiej i co rusz to ogłaszającymi rzekomy przełom. A już na pewno nie da się sprowadzić literatury do wąsko pojętej akademickości, w której tak wiele intelektualnej i duchowej wsobności, karmionej pustymi ambicjami, układami środowiskowymi, zawiścią, zarozumiałstwem, niepojętą pychą, neurotycznym już nieomal przymusem nieustannego nowatorstwa; akademickości coraz silniej dotkniętej bezmyślną punktozą i grantozą. Cytowalność? Rozpoznawalność? To choroby. Trzeba je wszystkie otwarcie nazywać w ten sposób, dopóki się z nich nie wyleczymy, i to raz na zawsze.

Trzeba je tak nazywać tym bardziej, że w obszarze nauk humanistycznych właśnie obserwujemy triumfalny pochód człowieka, jak by powiedział Herbert Marcuse, jednowymiarowego. Badaczy, gdy tylko zaczynają stawiać pierwsze kroki w swoim fachu, ustawia się na taśmach produkcyjnych przemysłu akademickiego, po czym poddaje formatującym procedurom administracyjnym, które co prawda dają gwarancje osiągnięcia zamierzonych rezultatów, ale w zamian często petryfikują wyobraźnię; nakładają na nią coraz ciaśniejszy gorset zasad, wytycznych, norm, nakazów. A przecież „zamierzone rezultaty” to określenie stworzone przez ludzi, którzy boją się zadawać pytanie „Co by było gdyby?”. Konsekwencją takiej polityki naukowej jest w odniesieniu do literatury i badań literackich – widać to już od pewnego czasu – postępująca uniformizacja metod badawczych, stylów odbioru czy propozycji interpretacyjnych, nie mówiąc o estetyce wypowiedzi tekstowych, do której przykłada się, jako do kwestii rzekomo drugorzędnej, coraz mniejszą wagę. Co z kolei sprawia, że w polskiej (i nie tylko) humanistyce robi się, wbrew szumnym deklaracjom o postępie i innowacyjności, wbrew wrażeniu obfitości (a nawet nadmiaru), po prostu – moim zdaniem – nudno i przewidywalnie. Formułuję tę ogólną ocenę z rozmysłem. I mam od razu ochotę przywołać Italo

Calvino z jego wykładu o lekkości: *W chwilach kiedy królestwo człowieka wydaje mi się skazane na noszenie ciężaru, myślę, że powinienem, niczym Perseusz, odlecieć w inną przestrzeń. Nie mówię o ucieczce w sen lub irracjonalizm. Chcę przez to powiedzieć, że muszę spojrzeć na świat z innego punktu widzenia, przyjąc inną optykę, inną logikę, inne metody poznania i kontroli.*<sup>1</sup>

Wiem, to trudne. Ale chciałbym, żebyśmy jako badacze literatury nigdy nie zapomnieli – nie zapomnieli zwłaszcza teraz, gdy instytucje badawcze przypominają raczej zautomatyzowane hale montażowe dla projektów grantowych – o głęboko antropologicznym wymiarze naszej pracy; o tym, że literatura (tak, to znowu Calvino z tego samego wykładu) jest przede wszystkim, od samych początków, poszukiwaniem lekkości w odpowiedzi na ciężar(y) życia.

Zawsze był mi bliski ideał literatury jako instytucji pedagogicznej, czegoś w rodzaju Kastalii, republiki uczonych i artystów, której portret nakreślił Hesse w swojej ostatniej i do dzisiaj niedocenianej powieści *Gra w szklane paciorki*<sup>2</sup>. Choć może zamiast „pedagogiki” lepsze byłoby „kształcenie”. A najlepsze: niemieckie określenie *Bildung*, oznaczające tyleż pozyskiwanie wiedzy co bardziej jeszcze kształtowanie i formowanie (jednostki). W roku 1935, pięć lat po rozpoczęciu prac nad swoim *opus magnum*, Hesse notował w jednym z listów: *Prawdziwe kształcenie [Bildung] nie jest kształceniem w jakimś celu, lecz posiada (...) sens samo w sobie. (...) samo w sobie jest już dla nas nagrodą, gdyż poprawia naszą jakość życia i pewność siebie, czyniąc nas weselszymi i szczęśliwymi, a także obdarzając człowieka wzmożonym poczuciem bezpieczeństwa i zdrowia, to znaczy: (...) jest uszczęśliwiającym i wzmacniającym poszerzeniem naszej świadomości, wzbogaceniem naszych możliwości życiowych i umiejętności zaznawania szczęścia. Dlatego prawdziwe kształcenie (...) jest równocześnie spełnieniem i impulsem. Zawsze jest ono u swego celu, a jednak na niczym nie poprzestaje. (...) Celem kształcenia jest (...) nadanie naszemu życiu sensu, zinterpretowanie przeszłości i nieulekłe otwarcie się na przyszłość.*<sup>3</sup>

Nic dodać, nic ująć, wciąż powtarzam te słowa, na różne sposoby, moim studentom. A jeszcze częściej powtarzam je samemu sobie. W swojej powieści Hesse nadaje procesowi kształcenia własną nazwę: gra w szklane paciorki. Niech nazwa ta nas nie zmyli, nie chodzi o manierystyczną rozrywkę dla elity, ulegającej pokusom

<sup>1</sup> Italo Calvino, *Wykłady amerykańskie. Sześć przypomnień dla przyszłego czytelnika*, przeł. Anna Wasilewska, Warszawa 2009, s. 16.

<sup>2</sup> Tytuł polskiego przekładu powieści H. Hessego (*Gra szklanych paciorków*) jest nieprecyzyjny, ponadto niezgodny z wyłożonymi przez narratora zasadami gry. Niemieckie „Glasperlenspiel” oznacza bowiem albo, jak proponuję, „grę w szklane paciorki” (analogicznie np. do gry w szachy) albo „grę na szklanych paciorkach” (analogicznie np. do gry na skrzypcach).

<sup>3</sup> Cyt. za: Volker Michels, *Posłowie wydawcy do Gry szklanych paciorków*, przeł. Eliza Karmińska-Pieciul, w: Hermann Hesse, *Gra szklanych paciorków*, przeł. Maria Kurecka, Poznań 2018, s. 767n.

eskapistycznych poszukiwań tzw. piękna. A jeśli nawet wielu mieszkańców Kastalii taką pokusę co pewien czas żywi, w fałszywym przekonaniu, że w tym wyraża się szlachectwo kultury wysokiej, to w osobie głównego bohatera powieści, Józefa Knechta, pisarz pokazuje wyraźnie, że kształcić się, znaczy również... porzucac to, co nas ukształtowało; zaprzeczać zasadom, które wydawały się nienaruszalne; podważać dogmaty, niechby najszlachetniejsze; dostrzegać rysy, zabrudzenia czy pęknięcia tam, gdzie inni wolą widzieć harmonię, czystość i gładkie powierzchnie.

Pisanie i czytanie literatury, pisanie o literaturze rzecz jasna również, są bez wątpienia takim rodzajem gry w szklane paciorki. Nie obawiam się użyć tego określenia, mimo że niejednen może je uznać za podejrzane, za niedostatecznie wyraziste, za mało nowatorskie. Szczególnie teraz, kiedy w świecie zachodnim, w Polsce również, przybierają na sile spory ideologiczne i światopoglądowe, i kiedy szybko rodzi się chęć łatwego etykietowania; kiedy rodzi się zwodnicza pokusa, aby za każdym razem mieć jasne przekonania oraz tego samego wymagać od innych; aby być „za” lub „przeciw”, bo każda sekunda wahania jest rzekomo wodą na młyn naszych „przeciwników”.

Taka postawa jest mi obca. Gra w szklane paciorki, czyli dobra literatura, to w moim przekonaniu nieśpieszna szkoła budowania świadomości; poszukiwanie jedności tam, gdzie różne dziedziny życia, doświadczenia, wiedzy i nauki straciły ze sobą istotną łączność wskutek, jak czytamy w posłowniu do najnowszego polskiego wydania *Gry w szklane paciorki*, postępującej specjalizacji, nacjonalizmów, ideologii, partyjniactwa, wyznaniowości.

Ktoś stwierdzi, że takie rozumienie literatury i jej funkcji kształceniowej to nic nowego pod słońcem. Racja. Tylko że czasami – jestem o tym najgłębiej przekonany – trzeba porzucić ambicje tworzenia czegoś zupełnie nowego, gra polega przecież i na tym, aby uporczywie powtarzać to, co już powiedziano. I powiedziano mądrze. Zawsze jednak jest to równocześnie coś innego, ponieważ kontekst wypowiedzi nieustannie się zmienia. Celnie ujmuje to Navid Kermani, współczesny pisarz niemiecki pochodzenia perskiego, w eseju poświęconym Hessemu: *Także gra w szklane paciorki nie ogranicza się przecież do tego, by powtarzać gesty z przeszłości, lecz każdym nowym ujęciem układa je ona w inną konstelację i na nowo interpretuje, a ta nowa interpretacja jest w istocie aktualizacją, w naturalny sposób powiązaną z osobą, która jej dokonuje, z miejscem, w którym owa osoba przebywa, z historyczną chwilą. W ostatecznym rozrachunku udana partia szklanych paciorków jest zawsze jedyna w swoim rodzaju, nie ma w niej nic powtarzalnego ani też nic, co dałoby się powtórzyć w przyszłości. Mimo to istnienie całej późniejszej literatury, a więc, miejmy nadzieję, również naszej, jest w jakiś sposób usprawiedliwione i uzasadnione, ponieważ nie powiela ona mechanicznie tradycji, na której się wspiera, lecz ją kontynuuje, odnosząc jej symbole do nowych treści, sytuacji czy okoliczności społecznych. Jeśli byśmy zamilkli, zapoznalibyśmy nie tylko alfabet kul-*

tury europejskiej (...). Zdradzilibyśmy ponadto przyszłość, która potrzebuje również naszego świadectwa – po to, ażeby stać się lepszą.<sup>4</sup>

Nie szkodzi, że Kermani brzmi cokolwiek koturnowo. Zawsze przecież możemy wrócić do porównania Roberta Walsera i powiedzieć, że w tym wszystkim chodzi po prostu o... długie ryje świń, poszukujących smakowitych truflí. Wyjdzie z grubsza na to samo.

\*

Na chwilę odwołam się do obserwacji, o której pisałem już w książce *Do czego używa się literatury?*<sup>5</sup>, wyniesionej z praktyki dydaktycznej. Otóż większość uczniów i studentów – którymi przecież kiedyś byliśmy – w ciągu lat nauki nabiera przeświadczenia, że literatura to coś, co w pierwszym rzędzie służy do magazynowania w bibliotekach, omawiania w ciasnych pomieszczeniach klasowych, dusznych salach seminaryjnych i na konferencjach czy jako pretekst do drobiazgowych roztrząsań opakowanych w formę rozprawki, artykułu, eseju, monografii. Słowem coś, do czego – ażeby stosownie o tym mówić – jest niezbędna jakaś odpowiednia instytucjonalna oprawa, czasami nawet bardzo dostojna. Jak gdyby właśnie ona, oprawa, stanowiła właściwą przestrzeń literatury, nie zaś, dla przykładu, fotel, w którym wygodnie siedzimy i oddajemy się przyjemnościom lektury. Zwłaszcza w obecnych czasach (kiedy bardzo wielu przedstawicieli humanistyki na wyścigi chce nas, czytelników, zamienić w zakładników najprzeróżniejszych powinności, także moralnych) zwrot „przyjemność lektury” brzmi cokolwiek podejrzanie.

Jeśli o mnie chodzi, to zajęcia ze studentami zwykle zaczynam od tego, że... wyprowadzam ich z sali seminaryjnej, a potem z budynku uniwersytetu. Tak wygląda nasze pierwsze spotkanie poświęcone literaturze – idziemy „w miasto”. Spacerujemy, rozglądamy się, wymieniamy wrażeniami, coś notujemy. Odwiedzamy dworce kolejowe, centra handlowe, kawiarnie. I na resztę naszych spotkań staramy się za wszelką cenę pamiętać jedno: że literatura rodzi się i żyje przede wszystkim właśnie tam, w miejscach, gdzie krzyżują się ludzkie doświadczenia.

Niestety tak się składa, że ostatnio żyjemy w czasach, kiedy te historie krzyżują się często w sposób dramatyczny, dużo bardziej dramatyczny niż dekadę, dwie dekady wcześniej; kiedy na dworcach wybuchają bomby, kiedy do siedzących w kawiarniach turystów strzela się z karabinów maszynowych, a po ulicach biegają terroryści uzbrojeni w noże, bez żadnej litości mordując, kogo popadnie. W takich warunkach tym trudniej podjąć decyzję, aby opuścić bezpieczne mury szkoły, uni-

<sup>4</sup> Navid Kermani, *Apologie des Glasperlenspiels. Hesse und der Untergang*, w: tegoż, *Zwischen Koran und Kafka. West-östliche Erkundungen*, München 2016, s. 273n.

<sup>5</sup> Łukasz Musiał, *Do czego używa się literatury?*, Fundacja „Tygodnika Powszechnego”, Kraków 2016.

wersytetu, sali seminaryjnej, sali konferencyjnej, biblioteki. Ale czytać, jak się czytało do tej pory? Czy tak się jeszcze da, czy tak wolno, czy tak wypada? Nie znam odpowiedzi. Mam jedynie poczucie, i chciałbym się tym poczuciem podzielić, że literatura być może staje przed wyzwaniami, przed jakimi nie stawała od dawna. I to bardzo licznymi, na wielu różnych płaszczyznach. Jeśli uznać, że wszystkie one składają się na pewien rodzaj prawa, rozumianego jako niedostrzegalny jeszcze w całości, mimo to powoli rysujący się nowy porządek rzeczy, to niewątpliwie literatura staje „przed prawem”. Nowym i szczególnego rodzaju, na które składają się gwałtowne przeobrażenia społeczno-polityczno-kulturowe ostatnich lat i dekad. Przeobrażenia te mają ogromny wpływ na literaturę, jej infrastrukturę i instytucje. Spośród wielu zjawisk, z jakimi mamy obecnie do czynienia i które sprawiają, że literatura podlega przemianom o znaczeniu fundamentalnym dla jej przyszłości, na czoło wysuwa się zwłaszcza zanik kultury pisma i ekspansja kultury cyfrowej, ze wszystkimi tego konsekwencjami.

\*

Jeśli literatura jest instytucją kształceniową, to jest również inspiracją. Do myślenia? Tak, oczywiście. Lecz nie tylko. Wbrew pozorom myślenie to zdecydowanie za mało, gdy w grę wchodzi literatura. Nie czyta dobrze ten, kto czyta wyłącznie pod dyktando idei. Czytać tak, jak gdyby szło się „na całość”, i to z całą powagą, na jaką nas stać, ze wszystkimi kotłującymi się w ciele podczas lektury myślami, odczuciami, wrażeniami, fascynacjami, obojętnościami, świadomościami i nieświadomościami, a równocześnie pozwolić, aby ta „całość” była w swojej powadze swobodną, żywiołową zabawą, oto prawdziwa sztuka. Sam nie jestem pewien, w jakim stopniu ją opanowałem, przez lata zawodowo zajmując się literaturą i historią literatury.

Jak by tego nie oceniać, eseje pomieszczone w niniejszej książce są świadectwem poszukiwań inspiracji lekturowych, dzięki którym literatura stała się dla mnie substytutem Kastalii, miejscem szczególnego rodzaju kształcenia. I nie tylko dla mnie: przystępując do gry w szklane paciorki, nawet jeśli robimy to czasami w odosobnieniu (bo gra w literaturę jest często grą samotniczą), zawsze wkraczamy w płataninę śladów, jakie zostawili tam inni gracze; śladów ich doświadczeń, najróżniejszych. Bogactwo owych śladów przyprawia niekiedy o zawrót głowy, co nie odbiera nam przyjemności pozostawienia własnych, po których będą z kolei kroczyć następni, którzy zechcą grać po nas. I tak to się toczy. Czytając, budujemy w ten sposób wspólnotę, którą niełatwo unicestwić. I która może stawić czoła wyzwaniom, przed jakimi stoimy, czy to jednostkowym czy społecznym. Takich nigdy nie brakuje, a zwłaszcza teraz, w epoce konfliktów migracyjnych, napięć

ekonomicznych, zmian klimatycznych, postępującego troglodytyzmu w obszarze polityki, coraz bardziej bezwzględnych wojen cyfrowych.

Dawno temu napisałem esej pt. *Melancholia i utopia*, którego punktem wyjścia był obraz Edwarda Hoppera *Woman in the Sun*. Później, po latach, po wielu nowych lekturach i wielu nowych doświadczeniach, napisałem esej zatytułowany *Zaufanie i utopia*. Jego punktem wyjścia uczyniłem... ten sam obraz Hoppera. Wymowa obu esejów jest skrajnie odmienna, choć inspiracja identyczna. Pierwszy esej, raczej „ciemny” w wymowie, umieściłem na początku tej książki, drugim, gdzie mowa o jasności zaufania – książkę zamykam. Pomiędzy nimi piętnaście innych tekstów, napisanych przy różnych okazjach, w różnej tonacji, opublikowanych w różnym czasie, poświęconych bardzo różnym autorom i bardzo odmiennym zagadnieniom<sup>6</sup>; tekstów nie zawsze wyraźnie konkluzyjnych, choć, taką mam nadzieję, ostatecznie składających się na pewną wizję literatury.

Albo lepiej: pomiędzy nimi *Bildung*. Pomiędzy nimi gra w szklane paciorki. Tropienie cudzych śladów i pozostawianie swoich. Robienie tego dla siebie i dla innych. W imieniu własnym oraz w imieniu tych, którzy również próbują niemożliwego, żeby dokonało się możliwe. W gruncie rzeczy to przecież bardzo proste.

---

<sup>6</sup> Z tego powodu zdecydowałem się pozostawić wszystkie eseje w takim kształcie, w jakim zostały one pierwotnie opublikowane. Niejednolite przypisy, zapisy bibliograficzne czy sposoby cytowania są zatem rezultatem zamierzonych działań.